

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny miod kwartal. 1 Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział IX.

ZJAZD OBYWATELSKI.

(Ciąg dalszy.)

Przeciwny wszelkiemu nowatorstwu, wylany dla współbraci swoich, których kochał jako synów jednej matki, tęskniący ciągle za przeszłością, w której wyższość wierzył z przesadną uporczywością, był on prawdziwym typem starego szlachcica polskiego, którego pamięć wzbudza w nas zwykle podwójne westchnienie, bo i za jego cnotami co nam tyle zjednały sławy, i za jego wadami, które nas w przepaść wtrąciły.

W chwili gdy wracamy do pana chorążego, zdobywamy go w pierwszej izbie na owym lamusie, chodzącego po niej szerokim i jak się zdaje niecierpliwym krokiem. W obszernej tej izbie zawieszane były portrety królów polskich i sławniejszych hetmanów, mianowicie litewskich. Przecho- dząc z kąta w kąt, nieraz rzucał okiem na tę lub ową twarz męskim marsem obdarzoną, i podobnyż mars występował na czoło jego, i zbliżał duże, siwe brwi do wyrazu groźnej i męskiej determinacji. Ubrany był tym razem strojnziej niż zwykle, co można było miarkować po pysznym pasie kapiącym od złota na niebieskim aksamitnym kontuszu, o brylantowych guzikach, i białym śrebrem poszywanym żupanem.

Karabeli nie miał przy boku, ani też czapki; trzymał je w ręku stojący koło drzwi, po polsku także ubrany, i równie stary dworzanin, faworyt chorążego, co z nim nie jedną przeżył w życiu wyprawę, a na serce jego i przywiązanie mógł rachować, jakoby na niezłomną skałę; znali się obydwa doskonale bo od dziecka jeszcze, a wiedząc o słabościach własnych obaj staruszkowie, żyli nie bez sprzeczek zapewne, w zgodzie, a zażyłości takiej, jakby nie między panem a sługą. Prawda że dworzanin był szlachcicem i to niepospolitym.

Marek Jurkowicz, należał do Jurkowiczów, rodu nadzwyczaj dawnego na Litwie, i wielce rozgałęzionego, bo była nawet niedaleko od Hładyszcz wieś Jurkowie, gdzie samej szlachty tego nazwiska było ze trzydziestu.

Po drugiej stronie koło okna stał stolik, a przy nim

siedział stary także zakonnik w stroju karmelickim, xiądz Ambrozy, którego sobie chorąży z klasztoru nad Wiliją wybrał za kapelana.

Miał przed sobą świecę zapaloną, i kończył właśnie pieczętować listy, które mu przed chwilą dyktował stary Wenda. Xiądz Ambrozy bowiem, pełnił obok duchownych swoich obowiązków i funkcją sekretarza przy jaśnie wielmożnym chorążym.

Krok jego stawał się coraz nierówniejszy i zdradzał widocznie wzmagającą się niecierpliwość.

— Mości Jurkowicz! ozwał się wreszcie, przybierając groźną postawę, jakiegoż tam ciurę posłałeś po mego wnuka?.

— Hrehory nie ciura przecie! to tęgi chłopak! odpowiedział pan Marek z rodzajem solidarnej urazy za pański dwór, którym on głównie komenderował.

— To chyba piechotą polażł, bo już ciż do Sosnowki niema więcej nad pół mili.

— Jest sześć wiorst! ozwał się ksiądz Ambrozy, ale wolałby był milczeć, bo cała burza gotująca się w duszy chorążego wybuchła w spojrzeniu jakie rzucił na kapelana.

— Dajże mi waspan pokój z temi głupimi wiorstwami! krzyknął, splunął i dodał: Świat stał, ludzie jeździli po koronie i Litwie, a wiorst niebyło; rozumiesz waćpan księżu Ambrozy!.

— Rozumiem jaśnie wielmożny panie! odrzekł sekretarz skruszony nie tyle odezwą pryncypała, ile kroplą gorącego laku, która mu na palec kapnęła.

— Pan Marek nie odpowiada już na pytanie moje?... mówił dalej pan Wenda, mający widoczną ochotę do kłótni.

— A cóż miałem odpowiedzieć, kiedy jegomość widział sam przecie, jak Hrehory siadał na myszaty klaczkę która przecie z ręczności znana, bo jegomość sam...

— Głupiś aspan panie Jurkowicz!.. Czemuż nie przyjeżdża Artur?.. chciałbym go widzieć nim nadjadą.

— Może jest w Słobódce.

— W Słobódce!.. Kto się waspana o zdanie pytał.

— Ot ja sobie tak myślę, bo przecież człowiek choć stary i głupi, ale nie darmo Jurkowicz ma oczy...

— I gębę mości Jurkowicz!.. I Abrahamka niema dotąd?...

— Sura mówiła, że zaraz przyjedzie z Wilna.

— Żydowskie zaraz! wtrącił kapelan, chcąc się przy-
pochlebić pańskiej niecierpliwości.

— A listy czy już gotowe? przerwał chorąży.

— Wszystkie jasnie wielmożny panie!

— Rozeszljż że je waść mości Jurkowicz!... ale kon-
nemi...

— Już od godziny czekają posłańce na dziedzińcu.

— Przedzje... za godzin parę dalsi przyjadą... kara-
belę i czapkę postaw na stolku, a ksiądz Ambrozy, niech
się tam zajmie, by w wielkiej sali było wszystko go-
towe...

Gdy się sam został, zatrzymał się chwilę, wyraz nie-
cierpliwości ustępował pomału przed smutnem zadumaniem,
i przystąpił do ulubionego okna, i ręce złożył jakby do
modlitwy.

— Boże! daj mi tego doczekać! mruknął po cichu.

Po długiej dosyć chwili ozwał się tętent konia, i wkrót-
ce wszedł pan Artur.

— Czekałem na ciebie, ozwał się stary.

— Byłem w Słobódce.

— To też nieszczęście że waspanu romanse w głowie,
dzis gdy ważne przychodzą chwile. Wiesz przecie jakie
przygotowują się zdarzenia.

— A wiem! odrzekł Artur niedbale.

— Wojsko polskie się zbliża...

— Właściwie francuskie, z dodatkiem Polaków.

— I cóż zamysłasz robić?..

— Żenić się!.. oświadczyłem się brygadierowi!

— Żenić się w takiej chwili, kiedy ojczyzna powstaje
z grobu!

— Przyznam ci szanowny mój dziadku, że w zmar-
twych stanie nieboszczyków nie wierzę.

— A zatem myślisz gnuśnieć w domu między babami,
gdy wszyscy ziomkowie nasi, pospieszą ostatnią kroplę
krwi swojej przelać za świętą sprawę. Ja na to nie
pozwolę! krzyknął chorąży gwałtownie...

— Dziadunio dobrodziej raczy pozwolić, ale ja mam
moją własną wolę, i jestem w wieku i położeniu.

— Wiem o tem! odrzekł chorąży z goryczą. Dzisiej-
sze prawa uwalniają z pod opieki młokosów, którymby
jeszcze zdały się boćkowskie dyscypliny. Wiem o tem że
majątkiem niezależysz odemnie, dzięki kapitałom znacznym
po matce odziedziczonym, i majątkowi zapisanemu ci przez
mego brata stryjecznego ś. p. Infulata.. Ale należysz do
mnie nazwiskiem jakie nosisz, i które niechęciałbym widzieć
za życia mego hańbą pokryte...

— Niech dziadunio dobrodziej, będzie o to spokojny...
wiem ja co znaczy honor szlachecki, i zachowam go nie-
skazitelnym.

— Dziś u mnie zjazd!.. wiesz dobrze w jakim celu...
ja stary nad grobem stojący nie zostanę w domu, kiedy oj-
czyzna woła, a tyż mój wnuku, czyliż obojętnym zosta-

niesz na głos tej naszej ojczyzny o pomoc wołającej, czy-
liż pozostaniesz w tyle, gdy najświetniejsze imiona polskie
zapisują się w szeregi ojczyste. Arturze! ja stary, nie daj
mi kończyć w wstydzie, że się z gniazda naszego starego
wylęgnie...

— Człowiek rozsądny, odrzekł szyderczo wnuk...

— Zdrajca!.. krzyknął dziad.

— Moje zdania polityczne są inne!.. ja myślę wierny
pozostać memu prawemu monarsze... i dziaduniowi dobro-
dziejowi nie radzę wdawać się w te awantury. Napoleona
djabli wezmą czy prędzy czy później, i z nim razem tych
wszystkich półgłówek naszych, którym pozawracał głowy,
a w ogólnym lekkomyślnym sprawie upadku, może i mają-
tek dziadunia dobrodziej...

— Ty się boisz o majątek mój!.. wyrodney!.. I to ma
być ostatni z rodu Wendów!..

— Da Bóg jak się ożenie!.. nie zaginie!..

— W tobie już zaginał!.. Słuchaj ostatnich słów mo-
ich! wybieraj!.. Albo pojedziesz ze mną tam gdzie woła
święty obowiązek... albo przekleństwo moje!..

— Groźby nie przełamia przekonania mego!.. Słowa w
chwili zapalu wymówione nic nie znaczą, a przyszłość oka-
że, kto z nas lepiej rozumiał położenie dzisiejsze!..

— Przyszłość! przyszłość!.. a choćby grób dla mnie,
jak dla tylu innych przodków moich na polu sławy!.. Przy-
szłość dla ciebie, i tylu tobie podobnych... wieczna hańba
i przekleństwo najokropniejsze w dziejach zapisane! Ostat-
nie słowo!.. słuchaj: Zaprosiłem sąsiadów i współobywate-
li naszych, aby uradzić w tej chwili coś stanowczego, coś
co by było godnego naszej starej Litwy, i naszego rodu sta-
rego. Żądam abyś był przytomny temu zjazdowi. Może
głos powszechny więcej na tobie mieć będzie wpływu, niże-
li głos starca, choć to jest głos dziada twego, jedynego
krewnego, jaki ci pozostał.

— Chętnie pozostanę, przekonany, że w tym głosie po-
wszechnym nie będzie wielkiej harmonii... i zda się na-
reszcie może na co... do zapalczywych wykrzykników do-
rzucić zdanie zimnego rozsądku...

— Tchórzostwa! egoizmu! zdrady powiedz raczej! krzy-
czał stary coraz gwałtowniej i scena ta mogłaby do smut-
nej przyjść ostateczności, gdyby się nie były otworzyły
drzwi, i w tej chwili nie pojawił się w nich oczekiwany
przez chorążego starozakonny Abramko, kłaniając się ni-
sko i potrząsając zdjętą z głowy jarmurką. Był to już nie
młody, mocno szpakowaty żydek, o rysach wschodnich wy-
razistych, w stroju żydów polskich, z szeroką i obfitą bro-
dą i długimi wiszącymi pejsami.

— Kłaniam jasnie wielmożnego pana chorążego! prze-
mówił stary zaufany arendarz pana Krzysztofa.

Pan Artur korzystając ze sposobności, wymknął się za
drzwi, rzuciwszy szydercze spojrzenie na dziada i żyda.

— I ci ludzie myślą, że mają rozum polityczny! mru-
czał do siebie odchodząc...

— Cóż tam słyszeć? mów Abramku! przemówił sta-
ry z niezwykłą żywością, zapomniawszy w tej chwili, na
całą z wnukiem sprzeczkę.

— Ja się o wszystkim dowiedział jasny panie!.. od
mojego szwagra, który jest zięciem starego rabina w
Wilnie....

— I cóż więc?

— Idą pewnie!.. Za trzy albo cztery dni będę już w
Wilnie.

— Idą!... zawołał stary!.. a zapal wystąpił mu na li-
ca młodszy od niego o całe pół wieku.

— Idą nasi!..

— Nasi?...

— Nasi ulanów na przedzie pod Ks. Józefem!..

— I jest ich wiele?

— Jasny panie! Szłoma mówił mi, że tam ich jest
tak wielu jak ryb w pańskim stawie Zawłoczynieckim...
A jest tam i Francuzów, i jakichś Turków i Włochów
i Niemców.. i gdzieś aż za morza dużo bardzo ludzi, a
na przedzie naszych ulanów jak gwiazd na niebie, a same
takie tęgie, jak jasny pan gdy był młodszy...

— I zbliżają się?.. którym traktem?

— Prosto na Wilno kilkoma traktów!.. główny korpus
jak to oni nazywają naszego Xięcia Józefa, ma iść na Sło-
bódkę państwów brygadierów... Z Wilna wszyscy poucie-
kali; na ulicy pusto!.. ani jednego nie widać mundura.. tylko
nasi żydkowie chodzą i skupują zboże, siano i owies...
bo mówią że te Francuzi co to chodzą w jakichś czapkach
mamelukowskich mają apetyt ogromny, i strasznie dobrze
placą.

Stary Wenda nie słuchał dalszej mowy żydowskiej; on
już stał w oknie i patrzył w krzyż kościelny. Poczciwy
starzec Bogu dziękował, że mu dał takiej doczekać
chwili.

— Niechże umrę teraz! wyrzekł odmłodzony, przypa-
sując karabelę i porywając za czapkę... ale między swojemi,
na ojczystej ziemi...

— Dziękuję ci Abramku za dobre nowiny!.. i wam bę-
dzie lepiej!

— Żeby tylko naszych ulanów zostali między nami!..
to bardzo dobre mają być chłopcy... i nie skapi!... a biją
się słyszałem jak... jak...

— Jak Polacy! zawołał stary.

— Aj waj! niech żyją! i jasny pan niech żyje! i nasi
żydkowie niech żyją! zakrzyknął żydek rozczulony.

— Jada już goście! ozwał się wchodzący pan Marek,
z widocznym wyrazem radości na twarzy, bo i Jurkowicz
zasłyszal już o zbliżaniu się nieprzeliczonych zastępów Na-
poleona.

Wyprostował się stary Wenda jak za dawnych czasów,

i poważnie a uroczysto szedł na dół, aby przyjmować
sproszonych do siebie gości, sąsiadów i współbraci powia-
towych.

Choraży czekał na gości swoich w sali karmazynowej,
służącej zwykle do wielkich tylko uroczystości. Była to sala
ogromna, obita karmazynowym adamaszkiem w złociste ra-
my ujętym: na ścianach wisiało tylko kilka zwierciadeł
wielkiej objętości i kilka obrazów przedstawiających same
obrazy historyczne, pomiędzy którymi najglówniejsze zaj-
mowało miejsce zwycięstwo Jana III. pod Wiedniem, w któ-
rym rodzony dziad pana Krzysztofa cudów waleczności do-
konał, i przedwczesną zginął śmiercią. Na suficie zawie-
szone było lustro ogromne ze rżniętych szkielek tak mister-
nie i kunsztownie ułożone, iż zasłużyło na podziwienie ca-
łej okolicy, a przy wieczornem oświeceniu wyglądało jakby
jeden olbrzymi brylant.

Wkrótce zaczęli się zjeżdżać bliżsi i dalsi sąsiedzi pa-
na Krzysztofa, których on już przez dwa dni umysłnemi
spraszał gońcami. Choraży Wenda przyjmował wszystkich
u drzwi sali karmazynowej, z uprzejmością i serdecznością
staroświecką. Coraz więcej było gości w sali, poubieranych
najrozmańciej, bo polskie stroje nie były jeszcze wówczas
wyszły z zwyczaju, a francuzkie stroje coraz więcej nabie-
rające prostoty i jednostajności, różniły się na niektórych
obecnych mianowicie przypomnieniem pstrokacizny za osta-
tnich czasów Stanisława Augusta używanej.

Najpoważniej i najpiękniej rzechy można wyglądał po-
między wszystkimi pan Krzysztof Wenda, bo się odznaczał
od wszystkich i piękną a silną postawą, i bogatym, prawdzi-
wie pańskim, dawne czasy przypominającym strojem, a mia-
nowicie tym wiekiem sędziwym tak dzielnie znoszonym,
który wzbudzał poszanowanie dla osoby, i cześć niejaka dla
czasów minionych, których on był niezwalczonym przedsta-
wicielem. To też chociaż między obecnymi byli ludzie je-
żeli nie równi mu wiekiem, ale równi urodzeniem, i mająt-
kiem nawet, a mianowicie położeniem, jakie w nowem zaj-
mowali społeczeństwie, a przecież nikomu nie przyszło
na myśl walczyć z chorażym o pierwszeństwo obywatelskie-
go w całej prowincyi znaczenia. Mniej lub więcej chę-
tnie wszyscy mu ustępowali szanując ten ostatek naszej
przeszłości stojącej nad grobem, który już tyle z niej po-
chłonał na zawsze.

Ustępował mu nawet pan marszałek Wołkiewicz, który
właściwie jako marszałek nowo kreowany pierwsze w Wil-
nie zajmował miejsce, i nie mało z niego był dumny. Pan
Anastazy Wołkiewicz nie z wielkiego pochodził rodu, ale
przez koligacyą bliską dziada z domem Radziwiłłowskim
przyszedł ród jego do pewnego znaczenia, a on sam do
bardzo wielkiego majątku, powiększonego jeszcze szczęśli-
wemi spekulacyami w ostatnich czasach podejmowanemi,
których powodzenie świetne winien był po największej czę-
ści chłodnemu pogodzeniu z rzeczywistością i rozsądnemu na-

ginaniu się ku zwycięskiej stronie w ostatnich zdarzeniach politycznych. Był to sobie z resztą człowiek niewielkiego wzrostu, zmniejszonego jeszcze ciekawie naprzód wystającym brzuszkiem, z twarzą dosyć pospolitą, gładziutko zawsze wygoloną, i zawsze uśmiechającą się, której ani nos gulowaty, ani usta dumnie wyteżone, ani kolanowata łysina, ani nawet oczy na wierzchu osadzone, nie dawały powagi wielkiej i wyrazu. Jeżeli dumna przesada na ustach robiła pana marszałka nieznosnym nawet, rozbrajał zato wyraz oczów prawdziwie pocziwy, a nawet sympatyczny.

W rzeczy samej pan Wolkiewicz mimo wielu śmieszności, które o nim aż do przesycenia rozpowiadano, był bardzo prawym człowiekiem, w wielu względach. Sprawiedliwy w swoim urzędowaniu, krzywdy nikomu w życiu nie zrobił, i cudzym źle nabytym nie wzbogacał się groszem, uczynny nawet dla sąsiadów i współpraci, nigdy żadnej prawdziwie potrzebnemu nie odmówił pomocy, a przede wszystkim największą było jego zaletą, że kraj swój po swojemu, to jest wedle własnych zdań swoich kochał szczerze, i zawsze był gotów nieść mu w ofierze, to co najwięcej cenił na świecie, własny majątek.

A chociaż w zdaniach swoich różnił się zupełnie od pana Krzysztofa, szanował go jako pamiątkę przeszłości narodowej, za którą sam może nieraz westchnął, ale uważał ją jako już nie żywą, pogrzebaną na wieki, i zupełnie do nowej i lepszej teraźniejszości nie stosowną. Na politycznym owoczesnym zdaniu stanowisku byli oni właściwie przeciwnikami, tem zawziętymi, że za nimi dwoma skupiały się wszystkie niemal znakomitsze rodziny szlacheckie, a więc oba będąc głowami stronnictw, i za siebie i za drugich musieli walczyć z sobą, mimo to oddawali sobie wszelką sprawiedliwość. Marszałek miał mimowolną cześć dla nieugiętego mimo dziewięćdziesięciu prawie lat charakteru chorążego, a chorąży nie mógł zaprzeczyć marszałkowi jego prawości urzędowej, i prywatnej pocziwości. Zdybywali się grzecznie, marszałek z pewną pokorą, a chorąży z pańską uprzejmą popularnością. (C. d. n.)

TESKNOTA.

Dzkie, dalekie piaszczyste przestrzenia,
Z wami wiatr tylko wionawszy od morza
Nieznane duszy toczy rozhowory,
Albo porwawszy piasek w zimne dłonie
Rozstawia kopce przez piaszczyste błonie
Potem je zwiewa za libijskie bory..
Gad pierś swą na kształt żarzącej się wstęgi
W kłębek zwinawszy rzutki ciska kręgi,
Aby wśród liści, gdzie rzeźwiące cienie
Mógł przyjaźniejsze zalegnąć schronienie.

Hej czarne, strome, granitowe skały
W spienionych morzach dumne byście stały
I twardą piersią orkan rozchukany
Odparły nazad w łożysko rozchwiane:
Tutaj pod berłem palącego słońca
Co z góry miota na was żar bez końca,
Hej dumne, twarde, granitowe skały
Wasze olbrzymie piersi popękały...

I mię to samo co was słońce piecze,
I mocniej pali bom dziecię północy,
Bo życie moje w tęsknocie się wlecze,
Której przełamać — ach nie w mojej mocy! —
A jednak, jednak, cóż ogień ten znaczy
Zrównany z ogniem mej piersi tulaczey!...

Tam na zachodzie po nad piasku fale
Gdzie zeszyły zorzy płonącej korale,
Tam się rysują w mgłę oazy szczyty,
Powiewnej palmy kolyszą się kity,
A zdroj rzeźwiący w roszkoshnej zieleni
Kwieciste brzegi srebrem kropel pieni;
Tam w słodkich woniach granatowych gajów,
Pod róż zawojem, pod namiotem majów,
Na obelisków zczerniałej ruinie
Lubisz spoczywać w cieniach beduinie,
Duszę dźwiękami starych pieśni poić,
O starych dziejach, o wolności roić,
A jak dźwięk pieśni — jak strumień przeczysty
Tak ci czas mija na ziemi ojczystej.

Lecz ja nie pójdę do pięknej oazy,
Co jak rozkwitły kwiat ze srebrnej wazy
Tak się wychyla w szeroką pustynię,
I cała w wdziękach i balsmach płynie...
Tam brzęczą czarki, wonne lecą dymy
W hałaśnem gronie wesołe brzmią rymy,
Oczy się iskrzą radością owiane,
Usta szaleją wesołością piane.
Lecz choć ich serca dla gościa wylane
Czyż mają balsam na tulacza ranę?

Och jam pożegnał... i nie dziś obaczy
Strony ojczyste biedny wzrok tulaczy;
Do tych stron miłych, jak orle do słońca
Dusza ma leci, i tęskni bez końca...

Och tam nad Bohu sinemi falami,
Tam za Alpami, tam tam za górami
Gdziem próg rodzinny pożegnał przed laty,
Tam tylko kwitną mego szczęścia kwiaty,
Tam mógłbym z braćmi wrzące czucie dzielić,
Śpiewać i z całej piersi się weselić! —

Bohu mój Bohu, gdzie są twoje wody
Co oplukują nasze stare grody,
Falami nasze dzieje wygrywają
I dumy nasze do morza zwiewają,
Ej Bohu, Bohu, — gdybym pił twe zdroje
Tobym zapomniał życia niepokojel..

Tam gdzie brzeg Bohu wznosi się urwisty
Wśród sosen widać smętarzyk piaszczysty,
Tam grób na wzgórku od zachodniej strony,
A na nim sterczy krzyż wiekiem schylony: —
Krzyż ten jutrzeńka razem z rosą zmywa
A pod tym krzyżem ma matka spoczywa.

Och! gdyby gdyby mi choć szczęścia tyle
Abym pod krzyżem mógł klęknąć na chwile,
Mógł do modlitwy złożyć ręce obie
I mógł o matko na twym płakać grobie!...

M. N. Z.

(D. n.)

Reszty rękopismu Jana Chryz. Paska.

wydane z egzemplarza ces. publicznej biblioteki w Petersburgu, przez
St. Lachowicza, na nowo przejrzone, z 6ciu rycinami. Wilno, 1854.

Ukazanie się piątego wydania pamiętników Paska do-
wodzi jak czytelnicy umieją ocenić to, co jest prawdziwie
piękne, co jest pomnikiem niepożytych naszej literatury
Wszystko co się dotyczy Paska jest już cenne; piękne ry-
sunki pana Zaleskiego rozchodzą się w momencie, bo wy-
stawiają sceny, które od dawna odmalowały się w wyobra-
źni ogółu, potęgą talentu malarskiego Paska. Jest to naj-
popularniejszy, najnarodowszy nasz pisarz; im więcej upły-
nie lat, tem on więcej będzie ceniony i kochany, jak owe
stare obrazy mistrzów XVI. wieku, którym czas coraz
więcej daje uroku. Wszyscy znamy album Paska, wydane
przez p. Wilczyńskiego; pomiędzy temi ładnymi rysunkami,
wyszliśmy z pod ołówka utalentowanego naszego Zaleskiego,
zawsze z osobliwą przyjemnością oko zatrzymuje
się na winietce, gdzie p. Pasek osiadał, przygarbiony nieco,
ale czerstwy i po staremu piękny, siedzi przy stoliku, du-
ma o swojej młodości ubiegłej, przypomina złote jej czasy,
kiwa zdaje się głową smutnie i maluje piórem te obrazy
uludne, jakie mu się cisną zewsząd do głowy; i uśmiech
występuje na usta i dła ciśnie się do oka — eheu fugit in-
terea irreparabile tempus! Obrazek ten pana Zaleskiego,
gdzie Pasek pisze swoje pamiętniki, a pod stołem śpi jego
menażerya, wraz z psami myśliwskimi, przypomina mi e-
stampy, wyobrażające Walter-Scotta, w jego Abotsfordzkim
zamku, kiedy pisze dla wnuka historyę Szkocyi, a u nóg
jego na rozslanych jelenich skórach, wypoczywają jego ulu-
bione charty, a na trąbce, nad głową siedzi sokół w kap-
turku i z dzwónkami. Czy te gusta wiejskie, oddychające

zamiłowaniem natury, tych dwóch mężów, nie mówią cza-
sami o pewnej pokrewności ich charakterów? Więcej jak
wiek cały oddziela ich od siebie, ale wzajemne podobień-
stwo do siebie ich imaginacyi jest wielkie; w pośród natury,
w lasach, w pośród parowów i skał, przy dźwięku myśliw-
skiej trąbki, budziły się zapewne u obydwóch te obrazy
żywe, którymi jeden zapełnił tylko księgę własnego życia,
drugi wiele tomów wyrojonych historii. U jednego biogra-
fija, rzeczy zdziałane w oczach tego co pisał, u drugiego
czysto wymysł poetycki, nie nie znaczy: obrazy jednego i
drugiego napiętnowane prawdziwym artyzmem, osobliwą
sztuką ugrupowania, oświecenia, nadania życia i charakte-
ru fizynomii figur; jurysta i żołnierz w zawodzie swoim,
w życiu niepodobni są do siebie, ale obaj uważani jako
artyści, rażą osobliwszem podobieństwem! Kiedy w 1836 r.
Hr. Raczyński wydał z rękopismu, po raz pierwszy: Pa-
miętniki Paska, wielu widziało w nich rodzaj walterskoty-
cznego romansu świeżego utworu; Wład. Trębicki pierwszy
oświadczył to na piśmie, starając się udowodnić swój do-
mysł; ale pozory były tak silne, że nawet Michał Wisznie-
wski, znakomity historyk literatury naszej, nie chciał temu
dać wiary, żeby to piętno walterskotyzmu pamiętników Pa-
ska było rzeczą przypadkową, żeby nie były one natchnio-
ne jakimś wielkiemu geniuszowi malarskiemu, duchem
szkockiego mistrza. Doprawdy, pamiętniki Paska są oso-
bliwszym fenomenem; nie są one ani historyczne, ani poli-
tyczne, ale czysto artystyczne; Pasek występuje w nich ma-
larz swego czasu; jego autobiografia jest długim szeregiem
żywych, precudownych, oryginalnych obrazów; przedmiot
ich zwykle wesoły, dowcipny, pełno w każdym, choćby naj-
mniejszym szkicu fizynomii, charakteru. Pasek, jak Wal-
ter-Skott, kocha szczerze człowieka, sympatyzuje z nim
wszędzie; osobiwie w przygodach śmiesznych, wesołych, w
czem przypomina trochę swego współczesnego Moliera, al-
bo późniejszego trochę Lesage'a.

Jaka różnica, pod względem artystycznym, pomiędzy
pamiętnikami Paska a kardynała de Retz, albo Bussy-Ra-
butin'a! We Francyi wiek XVII. był wiekiem pamiętników;
ale co w nich było? Intrzygi polityczne, intrzygi miłosne; in-
teres ich był psychologiczny, obyczajowy albo też czysto-
historyczny. Pasek zaś wszędzie ma za cel (zapewne sam
nie o tem nie wiedząc) *piękno*; dlatego malował on prze-
szłość, kolorując zapewne gołę tylko szkice notatek swoich;
dlatego tak mu było miło pomiędzy ludźmi, w wojaczce i
w wędrówkach po bożym świecie. Polityczne wypadki, ich
powody, cele, ukryte intrzygi gabinetowe, polityka zagrani-
czna, mało go obchodzą; niektóre postacie skreśla w kary-
katurze: Rakocy wybrał się do Polski po czosnek, bo mu
powiedziano, jakoby tu miał być lepszego niżli węgierski
smaku; ale dano mu takiego czosnku, że go nie przestał
palić aż do śmierci.

Oto fakt polityczny; mniejsza mu o niego; ale akces-

sorya wyprawy Rakocego wypracowuje po malarsku. Jaki to obrazek śliczny sam wyjazd Rakocego na wojnę i jego pożegnanie z matką, co go upomina, aby zaniechał tej wyprawy, bo i koń się mu potknął i mostnica się pod nim złamała.

A ciż Graffowie Katanowie, co to ich zostawił siedmiogrodzki książę w zakład za obiecany okup; karmiono ich zrazu, powiada Pasek, na srebrze w Łańcucie; pili wino; ale kiedy z Węgier nie było widać okupu pijali wodę, potem drwa do kuchni rąbali i nosili, i w tej nędzy żywot skończyli.

Oto piękny, weale oryginalny ustęp do historycznego romansu!

Bolesnie żałować przychodzi, za każdą razą, kiedy tylko bierze się do ręki prześliczna książka Paska, że brak w niej początku i końca; nie chce się tracić nadziei, że z czasem może odkryje się całkowity rękopism tych drogich dla nas pamiętników.

Zapewne występowało w nich dzieciństwo autora; jego wychowanie pod okiem matki i ojca; czasy szkolne, spędzone u Jezuitów w Rawie, profesorowie i koledzy; życie studenckie, psoty i figle wieku młodzieńczego; następnie może palestra, a potem już z kolei wojaczka. Nie wiemy wcale jak się rozwinał i pod czym wpływem ten duch artystyczny; zdradza się on we wszystkim; Pasek wszędzie jest poeta, poeta polskim, narodowym poetą; niespokój ducha gorącego, usiłującego wybić się na zewnątrz, tłumaczy się czynnym żywotem, wojaczka, życiem koleżeńskim, wędrówką, zalotami wreszcie do gładkich panien; nie może on siedzieć na miejscu, chce się mu doświadczyć ludzi, poznać świat, chce się koniecznie wyekspensować na zewnątrz ową energiję animuszu rycerskiego, co zamknięty w piersi, niepokoi go, wyzywając ustawicznie do ruchu na forum świata.

Pasek skosztował rozkoszy dusznej; zna on klasyków rzymskich, Wirgiliusza, Horacego, Owida, zna może Tybula, Propertego; czytał zapewne życia mężów znamienitych przez Korneliusza Neposa skreślone; dzieje rzymskie Liwiusza; zna Muzy i bogi udatne Olimpu; musiał też znać dobrze celniejszych poetów ojczystych; a wszystko to razem obudziło w nim wrodzone mu uczucie piękna. Pasek ma serce tkliwe; romans z panną Eleonorą in Croes Dawarne, w Danii przekonywa nas o tem dowodnie; nie sama gładkość dzieweczki włożyła mu, jak powiada, kajdany na serce, ale i wykształcenie jej staranne, rozum i udatność osobliwa we wszystkim. Potrzeba było wracać do kraju; żal było panu Chryzostomowi rzucać nie tak daleko fortunę, jako afekt taki, któremu o podobny trudno. Jako tedy z niedźwiedziem pasował się z myślami; kiedy bywało umysł przypadnie żeby zostać w Danii (bo w jednej godzinie napadnie myśl żeby zostać, w drugiej żeby tego nieczynić), to zaraz jakaś wesołość ogarnia człowieka; skoro zaś nastąpi żeby

nie zostawać, to znowu alteracja, a sroga ciężkość na sercu. Ale widocznie że nie to było przeznaczono od Boga więc ofiarując to w dyspozycją Boską, a ścisnawszy nóżki Panu Jezusowi którego miał z sobą na obrazie z N. Panną, to zaraz jak plastr przyłożył i ochota zaraz nastąpiła ta, żeby do Polski jechać a tam niezostawać. Ale nim to nastąpiło owo przesilenie, nieraz zapewne westchnął ze łzami.

W owych to zapewne amarach, pan Pasek tak lubił przypatrywać się w Jutlandyi kolorowi morza i tej dali niezgłębionej okiem, gdzie Oceanus styka się z niebem; zajmowało go to wielce że Bałtyk inaczej, a inaczej Ocean wygląda. Lubił pan Pasek naturę, to widoczna; lubo mu było w łodzi płynąć na wyspę morską, gdzie były ruiny starego zamku; tu na słońcu wypoczywały różne, pocięzne potwory; zakradłszy się z cicha, można się było im napatrzeć dowoli, ale dość rzucić kamieniem, aby cała ta czereda w momencie jednym znikła w otchłaniach morskich.

Uczucie piękna przebija się wszędzie we wspomnieniach Paska; w Hamburgu, np. z przyjemnością opatruje stary kościół i klasztor poaugustyański, gdzie się rozlokował był pan Wojewoda Czarniecki; tu go osobliwie zajmowała architektura budowy, długie korytarze z celami, a było ich do pięciuset; zaś w samym kościele obrazy piękne, zwłaszcza prześliczne szyby, gdzie na szkłe wybijały się przezroczyście cudne wizerunki Świętych Pańskich, osobliwie Najświętszej Panny, z wielo napisami pobożnemi. W Danii Pasek zbiera numizmata i inne rarytesa.

Przy wysadzeniu w powietrze zamku królewskiego w Koldyndze, zajmowały pana Paska ozdoby architektoniczne palacu, zwłaszcza statuy udatne bardzo; jedna osobliwie z białego marmuru, wyrzucona na piasek, pociągała do siebie p. Paska; nasz artysta kontuszowy nie umiał sobie zdać sprawy z tego osobliwszego pociągu do kobiety z kamienia, która właśnie taka była jak kobieta żywa; do niej na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona komendantowa, wyrzucona prochami; a leżała, rozkrzyżowawszy się w postaci (in forma), jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznaczyć było trudno aż prawie pomacawszy dopiero twardości kamiennej. Pasek opowiada o tem, jak o czemś cudownem, niepojętem, o tem żywym ciełe z kamienia. Kto po tem jednym nie pozna duszy artysty? duszy malarza z natury, co czuł sercem piękno, odgadywał w życiu i dzielnie wielewał je w swoich szkicach, pełnych charakteru, prawdy i wdzięku! Za wodzą tego uczucia artystycznego powstał rękopism Paska; pisał go dla swojej własnej przyjemności, nie myśląc zapewne o druku.

Pamiętniki Paska są całą galerją obrazów i portretów żywych; umie on nadać życie, charakter wybitny kilka prostymi słowy; sam występuje w rękopiśmie, który jak po

(C. d. n.)

O godzinie 8mej wszyscy zadowoleni z wzajemnego obejrzenia siebie, powracają tłumnie do domów i oberży, okryci kurzem i błotem jakby z wojennej wyprawy, istna wędrówka ludów!. Lecz na drugi dzień pozostaje to jedno wspomnienie że rok więcej już minął od ostatniego 1go maja, z tą tylko różnicą iż dnia tego palono we wszystkich piecach wyjąwszy tych co nie mieli za co drzewa kupić, co się tutaj często i w grudniu przytrafia.

* Dowiadujemy się z źródeł dosyć niezawodnych, iż tyfus nie tylko w Galicyi bierze ofiary. Daleko okropniej sroży on się w kró-

lewstwie polskiem tak między cywilnymi jak i wojskowymi. Osobliwie zaś grassuje między wojskiem w zastraszający sposób. Załoga Zamościa mało powiedzieć zdziśiatkowana została, bo do połowy padła ofiarą tej strasznej choroby. W innem miejscu otwartem, gdzie stało 4000 wojska, tak się rozszerzył zabójczy tyfus, że zaledwie czwarta część zdrowych opuściła to miasteczko. Książę Paszkiewicz wysłał był do Zamościa adjutanta swego Jezierskiego dla wybadania przyczyn tak okropnego szerszenia się tyfusu. Jezierski się zaraził sam i w kilka dni umarł.

Przyjechali od dnia 6. do 8. Maja. do Lwowa.

Adam Melbachowski dziedzic z Zaleszczyk. Hipolit Kronstein z Krakowa. Kordula hr. Fredro z Baykowa. Zawadzki Józef z Stryja. Lewandowski Paweł z Stryja. Serwatowski Adalbert z Brzeżan. Ciepielowski Dionizy konsyliarz kryminalny z Sambora. Jędrzejowski z Felsztyna. Komorowski Piotr hr. z Bilinki. Oczosalski Stefan z Wiednia. Rulikowski Jan z Uhrynowa. Schönfeld Józef z Labeli.

Turkuł Tadeusz dziedzic z Białej. Ożarowski hr. Konstanty z Strzemilezyc. Glixelli Teodor z Glinian. Mniszek Tytus hr. z Husiatyna. Gnoiński Aleksander z Krasnego. Michał Wereszczyński Dr. medycyny z Opólska. Wysocki Florian dziedzic z Hrehorowa. Kirchmajer Jan z Hrehorowa. Łodyński Ignacy z Pachowa.

Wyjechali od dnia 7. do 8. Maja ze Lwowa:

PP. Rulikowski Kajetan do Świtarzowa. Krzeczunowicz Józef do Jarczowa. Torosiewicz Michał do Połtwa. Brunicki Józef br. do Rudy. Kwiatkowski Ferdynand do Tarnopola.

PP. Sapicha książę do Przemyśla. Kruszyński Henryk do Brzeżan. Szymanowski Szymon do Opólska.

Kurs telegrafowany z Wiednia 9. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 zlr.	127%	Pożyczka 5% 80 1/4 4 1/2	—
Hamburg za 100 tal. banco	93%	Akcyje banku	986
London za 1 funt szterl.	12 28	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	126%	Obl. ind.	74
Paryż za 300 franków	148%	Nowa pożyczka z loteryą	100%
Agio duk. ces.	31 1/2	Pożyczka narodowa	84 1/2

Wczorajszy

Kurs Lwowski

Gotówka towarem

	Złotówka		Towarowa	
Dukat holenderski	złr.	5 kr. 48	złr.	5 kr. 52
Dukat cesarski	"	5 " 52	"	5 " 55
Półimperyal zł. rosyjski	10 " 10	" 5 " 9	"	" 9
Rubel srebrny rosyjski	" 1 " 57	" 1 " 58	"	" 58
Talar pruski	" 1 " 53	" 1 " 55	"	" 55
Polski kurant i pięciolotówka	" 1 " 25	" 1 " 26	"	" 26
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	92 " 35	" 92 " 55	"	" 55
Galicyskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	72 " 6	" 72 " 30	"	" 30
5 proc. pożyczka narodowa	83 " —	" 81 " —	"	" —

Lwów, 9. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy oziemej po 37 złr. 30 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 28 złr. — kr. do 28 złr. 30 kr. Jęczmienia po 22 złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 19 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemiaków po 12 złr. 30 do 15 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 65 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 6 złr. 10 kr. do 6 złr. 53 kr. Centnar słomy 2 złr. 38 kr. do 4 złr. 30 kr. w.w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w.w.

W księgarniach

(1—6)

H. W. Kallenbacha i J. Milikowskiego we Lwowie,

jest do nabycia;

WINCENTEGO POLA

MOHORT

RAPSOD RYCERSKI Z PODANIA.

Kraków, 1855. Cena 5 Złr. m. k.